Rok 1. 15. maja. Nr. 7.

TEKA

czasopismo poświęcone sprawom młodzieży szkół średnich,

wydawane przez

młodzież akademicką.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Od niewoli Moskiewskiej, Austryackiej, Pruskiej, Wybaw nas Panie!
Adam Mickiewicz: »Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego«.

Do współkolegów z zaboru pruskiego.

To co od dawna było gorącem naszem życzeniem, czegośmy pragnęli zawsze, urzeczywistnić nie śmiąc marzyć nawet — uzyskaliśmy niebawem, zupełnie bez swego przyczynienia się: pismo dla młodzieży gimnazyalnej.

Myśl wprowadzili w czyn bracia nasi z Galicyi. Nieskończenie wdzięczni im być powinniśmy za dzieło, którego dokazali, przedewszystkiem zaś za to, że przytem i o nas nie zapomnieli otworzyli nam najzupełniej łamy swoje do wspólnej powołując pracy. Mogą ustać teraz u nas żmudne przepisywania gazetek i całonocne hektografowania, bo mamy teraz pismo, w którem nasze artykuły, nasze pierwsze próby literackie umieszczać możemy i nie dla kilku tylko ale dla wszystkich. Świat niech się dowie o naszych walkach, naszych bólach, dążeniach i poglądach.

Program naszego pisma znajdziecie w 1-szym numerze; nam tu nie wiele doń dorzucić należy. Wzniosłe cele i zadania pisma, skierowane w pierwszej linii do młodzieży galicyjskiej, dla nas to samo a bodaj większe i ważniejsze mają znaczenie. My tutaj wyzuci najzupełniej z tego, co prawem jest młodzieży każdego innego narodu, o wiele więcej narażeni jesteśmy na rozmaite niebezpieczeństwa. Odebrano nam to, co każdy naród uważa za najpierwsze, najświętsze i najsprawiedliwsze dobro swoje, odebrano nam język ojczysty, i jakby na większe upodlenie jeszcze nasze, pasą nas jego okruchami i to jakimi! lecz o tem na innem miejscu.

My zewsząd niebezpieczeństwy okoleni, my którym gwałtownie od pierwszych lat dzieciństwa obcą wdrażają mowę, pilnie się strzec i bronić musimy, aby nam czasem wraz z nią nie przelali w serca obcych pojęć i uczuć. Bo kto się nauczy myśleć po niemiecku, może ten czuć po polsku. (?)

Poczucie narodowe, charakter polski u nas każdy sobie wyrobić musi. Niemiec synowi swemu od maluczkiego powtarza i wpaja bezustannie, że on jest Niemcem, jako taki żyć i zginąć powinien; to samo słyszy przez całe życie, słyszy publicznie. Dla nas tych warunków nie ma.

Rodzice nasi, którzy uczyli się jeszcze w szkołach po polsku, obcowali jako tako z Niemcami, zrozumieć nie mogą, jak my odwracać się możemy zupełnie od tych „niewinnych chłopców".

Potem też znieczuleni i w końcu apatyczni na nieustanne szykany wrogiego nam żywiołu stracili już dawny swój idealizm, nie pojmują nas, nie zdolni odczuć tego co my młodzi, kształcący się podczas największego narodowego ucisku, w młodych, wrażliwych swych duszach czujemy. Starsi obywatele nasi aczkolwiek ludzie niewątpliwie nam życzliwi i w gruncie, że tak powiem, dobrzy Polacy, uważają jednakowoż za największy błąd wspomnieć młodemu synowi swemu coś o jego narodowości, broń Boże zaś o jakimś Kościuszce lub innym bohaterze, który bronił Ojczyzny przed wrogów najazdem. „Boby syn mógł czasem nieostrożnie wypowiedzieć słówko, któreby doniósłszy się do nauczyciela mogło narazić go na jaką dotkliwą karę".

A gdy dopiero się dowiedzą że syn, już starszy, uczy się i kształci sam, poza szkołą, w języku i historyi swej, to go ostrzegają przed niebezpieczeństwem takiej „zabawki". Mówią, że pierwszem zadaniem i jedyną troską ucznia, to troska o dopięcie swego celu t. j. zdanie matury, potem zacznijcie pracować". Zaś znowu, gdy akademik szerszą i ogólniejszą, jak to zupełnie jest naturalne, zajmie się sprawą, to znowuż mu powtarzają: „cel — niezależne stanowisko — potem pracuj": bo mówią: „swoją pracą Polski nie zbawisz, siebie zgubisz, rodziców zmarnujesz i społeczeństwo cię utraci, pracuj tylko w swoim fachu, resztę Opatrzność sama zrobi, a ludzkość i sprawiedliwość z czasem serca naszych nieprzyjaciół przemieni".

Nie będziemy tu zbijali tych starych wierzeń, które tak nieszczęśnie i głęboko zakorzeniły się w nasze społeczeństwo; dziwnemby nam się tylko wydawało gdyby ta Opatrzność miała

się zająć narodem bezczynnych leniwców, którzy o Nią nie dbają, nie pracują na Jej przybycie.

Chcieliśmy tutaj tylko małą dać próbkę tego co przechodzić, jak walczyć musi młodzież nasza. Nam walczyć trzeba z familią, z opinią „poważniejszej części“ społeczeństwa swego i z germanizacyą przez szkołę. Wszystko z czem tylko młodzież u nas od urodzenia prawie spotkać się może, wszystko przyczynia się do stłumienia wszelkiego poczucia narodowego; do cudu prawie należy, że u nas tyle jeszcze uczuć narodowych utrzymało się.

Naszem zadaniem pójść na przekór wszystkiemu, młodzieńczym zapałem i siłą przełamać wszelkie zapory i naprzód podążyć:

„a gdy błoto na drodze — przez błoto,
a gdy ciernie i kolce — przez kolce,
a gdy róże i wieńce — przez róże!“

Dążąc do naszego ideału, do pracy dla dobra narodu pracować nam trzeba w małem swojem społeczeństwie pomiędzy młodszymi kolegami. *Tym wskazać wielki ideał Kościuszki, ideał równych i wolnych Polaków w wolnej Polsce* — i drogę do niego w młode wszczepić serca, a ta droga to: *Oświata Ludu.* Ten tylko patryotą zwać się godzien, kto czynem patryotyzm okaże w społeczeństwie swojem, a społeczeństwo nasze, to młodsi bracia nasi a czyny nasze to oświecanie i wykształcenie tych młodszych braci na prawych swej Ojczyzny synów.

Niech doda nam otuchy do tej świętej pracy to, że nie sami tylko my w swej dzielnicy pracujemy, ale że tę samą dzielą braci nasi do dziś jeszcze tak nam nieznani zupełnie, tak niby dalecy, rozdzieleni strasznymi kordonami, granicami, których my nie uznajemy, które jednakże „coraz się wrzynają w ziemię, coraz wyraźniej, się odznaczają“. My będziemy pierwszymi, którzy staną na przeszkodzie dalszemu odgraniczaniu się; dążmy do wspólnego działania, do zbliżenia i zaprzyjaźnienia się z nimi; bo jednej Matki jesteśmy syny, jedno i te same mamy cele, a zatem razem pracować nam trzeba i da Bóg będziem pracowali, aby wspólnie wywalczyć wolność i szczęście swemu narodowi.

Z Wielkopolski. *J. S.*

Dróg, dróg. Wskażcie drogę...

Dróg, dróg! Wskażcie drogę, bo ginę w chaosie,
Bo ginę w zamęcie mych dróg!!...
Jak pieśń, co wieczorem roztraca się w rosie,
Jak niwa spalona, co marzy o kłosie,
Jak ziemia, gdy miażdży ją Bóg!...

Niech oko mnie zgaśnie, niech tak jak król ślepych
W otchłannych zaświatów pogrążą się przepych,
By nucić wśród grzmotów pieśń wielką helotów,
Aż błysną nadzieje i ziemia struchleje
I chmurą uśmiechnie się Bóg!

Tam słońca — tu słońca! Tam łuny — tu łuny,
Tu harfy spłakane, jęczące tam struny
I tyle pociąga mnie dróg!...
I serce tak rwie się, jak wichr kiedy w lesie
Zapłacze, zaszumi i skargę swą niesie,
By z nią się położyć u nóg!

O... tambym chciał dążyć, gdzie nieba jaskrawsze,
Gdzie chmury są czystsze i gwiazdy złocistsze,
Gdzie skrzydeł potrzeba nie nóg...
Tam drogę mi wskażcie, a pójdę nią zawsze
Po pieśni szalone, po słońca najkrwawsze
Jak człowiek, jak robak, jak Bóg!...

Kraków.

Gozdawa Godlewski.

Dr. Paweł Popiel.* *W sprawie reformy szkół średnich. Kraków 1899. (Osobne odbicie z „Przeglądu polskiego".)

Tak więc, wobec argumentów pana Popiela dałoby się obronić naszem zdaniem nawet zupełne wyrugowanie greczyzny ze szkół średnich. Ależ o takiem doszczętnem wyrzuceniu greki na uniwersytet marzy zaledwie mała liczba skrajnych reformatów. Inni godzą się przecież na pozostawienie greki w wyższem gimnazyum jako przedmiotu nadobowiązkowego, wymaganego tylko od tych, którzy na uniwersytecie pragną sobie obrać zawód koniecznie greczyzny wymagający; inni znowu oświadczają się za bifurkacyą wyższego gimnazyum na kierunek humanistyczny i realny, i to bądź po 4 bądź po 6 klasie. Jedni i drudzy domagają się tylko z naciskiem, aby liczbę tych zawodów, do których greka niezbędnie ma być wymaganą, ograniczyć jak najbardziej, aby one stały się wyjątkiem, a inne zawody regułą, podczas gdy dzisiaj jest

przeciwnie. Jednym i drugim, każdy bezstronny przyznać musi słuszność. Boć jeżeli — czemu nawet pan Popiel niezaprzecza — język łaciński jest stokroć potrzebniejszy niż język grecki, to liczba tych zawodów, do których wymagane są oba, powinna przecież być mniejszą od liczby tych, do których żądanym jest jeden. Tego wymaga zdrowy rozum i elementarna arytmetyka, która powiada, że 100 jest więcej niż jeden.

A cóż dopiero mówić o umiarkowańszych, ze wszystkiemi względami i potrzebami liczących się żądaniach? Wszak niejeden zwolennik reformy zadowoliłby się — do takich należy przynajmniej autor niniejszych uwag — gdyby filologię, bez wyrzucania greki i wprowadzania bifurkacyi, bodaj trochę ograniczono. Byle tylko przy wyborze autorów klasycznych powiedzieć sobie, że wybiera się tylko takich, którzy i pod względem formy, stylu i języka pierwszorzędne w swej literaturze zajmują miejsce i treścią swych dzieł mogą nietylko młodzież zainteresować, ale zarazem na jej umysły istotnie kształcący wpływ wywrzeć: a już nie jedno, dałoby się porządnie okroić. Wyleciałby wówczas z programu nauk idyotyczny Nepos, drugorzędny stylista, nieudolny zbieracz anegdot bez planu i związku (por. np. żywot Cymona lub Epaminondasa) lub registrator faktów, z historyi powszechnej znanych, dosłowny niemal plagiator Herodota i Tucydydesa (por. żywoti Temistoklesa); stopniałby do połowy. Cezar, którego mistrzowsk styl pamiętnikowy niknie dla młodzieży wśród trudności *orationis obliquae*, a którego treść, blada, poświęcona faktom, na uboczu w historyi powszechnej stojącym i osobom skąd inąd nieznanym, przez przewrotne przedstawianie bohaterskich obrońców niepodległości gallijskiej tylko szkodliwy wpływ etyczny wywrzeć może; ustąpiłaby w ten sam sposób Anabasis Xenofonta, nudnie opowiadająca o wypadkach, w historyi powszechnej drugorzędnych: i w ten sposób, przy dobrej woli dałoby się może przesunąć początki języka greckiego z trzeciej do piątej klasy. A nie należy zapominać i o tem, że umysł młodzieńczy z każdym rokiem staje się dojrzalszym, myśli logiczniej i łatwiej pojmuje reguły gramatyczne; ograniczenie więc nauki greczyzny z 6 lat na 4 nietylko nie pociągnęłoby za sobą zmniejszenia kwantum wiedzy hellenistycznej w stosunku 6:4, ale zgoła naszem zdaniem nie przyniosłoby prawie żadnego uszczerbku.

Ale pan Popiel o tych wszystkich pośrednich, umiarkowanych kierunkach nic nie wie. Dla niego istnieje tylko skrajny, radykalny przeciwnik w osobie tych, którzy łacinę i grekę zupełnie chcą

wyrzucić, no i z tymi bardzo wygodnie mu prowadzić teoretyczną polemikę. Również nie wie p. Popiel nic o dwustopniowości w nauce historyi i nauk przerodniczych w gimnazyum; nie ma najlżejszego pojęcia o tem, ile czasu bez najmniejszego uszczerbku dla nauk przyrodniczych, a nawet z korzyścią dla nich dałoby się oszczędzić przez usunięcie tej dwustopniowości: więc też niechęć swoją do nauk przyrodniczych wyładowuje w prymitywnem i nieokreślonem żądaniu ograniczenia wykładu tych nauk w ginazyum do rzeczy najkonieczniejszych, do swojskich zwierząt i domowych roślin. Szczegóły pozostawia autor pedagogom, bo on, jak *praetor, minima non curat:* jest tylko poto, aby postawił zasadę i teoretycznie ją »ratował.« Niechby tak który ze zwolenników reformy poprzestał tylko na teoretycznem postawieniu i bronieniu zasady, szczegóły pozostawiając pedagogom! Z pewnością dr. Popiel i jego zwolennicy zarzucilibymu wtrącanie się do nie swoich rzeczy i nazwali gołosłownym frazesowiczem lub niepowołanem reformatorem. My nie robimy p. Popielowi tego formalnego zarzutu, że nie będąc pedagogiem, wziął się do pisania o szkołach średnich; bo wolimy w tym wypadku trzymać się zasady: *hanc veniam damus petimusque vicissim;* — ale w tem, że stronnictwo, uważające siebie za kwiat inteligencyi kraju i nazywające niegdyś swą walkę z innemi stronnictwami kraju walką rozumu z ograniczonością i płytkością, że takie stronnictwo — powtarzamy w najpoważniejszym swym organie drukuje powierzchowny, płytki, ani stylem ani treścią ponad miernotę nie wybiegający artykuł dyletanta, z najważniejszemi szkolnemi kwestyami nieobeznenego, w tem zmuszeni jesteśmy upatrywać *signum temporis* dla ewolucyi umysłowowej naszego społeczeństwa.

P.

O granicach poznania natury*).

Jestto odwieczną i zasadniczą cechą natury człowieka, że zastanawia się i bada. Rzucony w odmęt doczesnego życia stara się zrozumieć przedewszystkiem to co go otacza tj. przyrodę a w dalszej konsekwencyi samego siebie... Skąd się wzięła ta niesłychana ilość zjawisk przejawiających się w naturze, jakie są prawa kierujące niemi, a, jeżeli są, skąd się wzięły, skąd skąd się wziął na świecie o n s a m, a dalej... skąd się wzięło

*) Według Dubois Reymonda, tłóm: Maryan Mossomus.

i co oznacza to drugie zycie, ten drugi byt zupełnie od pierwszego niezależny a tak potężny i wielki — byt psychiczny...?... to wszystko przedstawia dla człowieka zagadkę, nad której rozwiązaniem umysł jego już od wieków gorliwie pracuje.

I ażeby się choć w części zadowolić, wiąże duch ludzki szereg faktów poznanych w jeden system. System taki filozoficzny, ażeby choć częściowo odpowiedział zaspokojeniu żądzy wiedzy u ludzi, bez względu na to z jakiego wychodzi stanowiska, musi mieć silną podstawę w logicznem przeprowadzeniu kwestyi, w ścisłości dowodzeń... Wystarczy bowiem ażeby choć jedno ogniwo w naturalnym powiązaniu przyczyn i skutków okazało się fałszywem lub choćby niepewnem — już runął cały gmach z tak olbrzymim trudem przez człowieka zbudowany, zaprzepaszczając pod gruzem wszystkie nadzieje i marzenia ludzkie — bezpowrotnie. Takie katastrofy zdarzają się bardzo często, jak nas o tem poucza historya filozofii, a na ruinach dawnego systemu wyrasta drugi, ażeby, jak ważka, nacieszywszy się dniem swego istnienia i zapłodniwszy nowe życie, na zawsze zstąpić do grobu...

Człowiek bowiem szuka praw stałych i prawdy niezmiennej a umysł jego sceptyczny, choćby na razie nie umiał postawić żadnego pozytywnego twierdzenia, uważa za zasadę przeczyć wszystkiemu, co nie zostanie bardzo silnie uzasadnionem... przeczyć i burzyć!

Jednak w tych tragicznych krwawych zapasach o prawdę i wiedzę góruje jeden zasadniczy ton, który jak ów głos bogów w nutach greckich, zagrzewa do dalszych walk, podtrzymuje słabnące siły ludzkości, wlewając ducha zapału i męstwa.

Tym zaś tonem zasadniczym, tą pobudką zapalającą do czynu jest — ufność ludzkości w swoje własne siły i w pewną sprawiedliwość, że mozolne walki nagradza — zwycięstwo. — To też nie dziwimy się wcale, że wielkie musiało powstać oburzenie, gdy znalazł się śmiałek, który odważył się wytknąć granice ścisłe, których n i k t bezkarnie n i g d y nie będzie mógł przekroczyć.... „Ignorabimus“ !

A tym śmiałkiem był Dubois-Reymond, który wyżej wymienioną łacińską dewizę podpisał na końcu swojej rozprawki pt. „O granicach poznania natury“ jako ostateczne jej streszczenie i zamknięcie. Rozprawka ta o bardzo doniosłem znaczeniu w historyi filozofii już to dla niezmiernej wagi poruszonych w niej kwestyi i zagadnień, już to dla roli historycznej, jaką

odegrała w świecie naukowym, — stawia sobie za cel zbicie teoryi materyalistycznych, które prawie do ósmego dziesiątka naszego stulecia uważane były za najlepsze. Przytem potrąca autor w niej o dwie bardzo ważne kwesye, piętnując je tem, że nigdy nie zostaną rozwiązane, i że stworzy tem samem granice naszego poznania przyrody...

W obec tego jednak, że poznanie przyrody w sensie teoretycznego przyrodoznawstwa, jest sprowadzeniem wszystkich zmian zachodzących na ciałach do ruchów najdrobniejszych ich części tj. atomów, objętych pewnemi prawami matematyki; — przedstawmy sobie takiego ducha — symbol doskonałości ludzdzkiego poznania — który wymierzył z cyrklem w ręku całą nieskończoność wszechświata, policzył wszystkie atomy ciał, oznaczył ich wzajemny względem siebie stosunek, zbadał i określił matematycznie siły mające punkt zaczepienia w tych właśnie atomach, oznaczył ilość ruchu .... a nakoniec zamknął zdobyte przez siebie prawa w jednym wzorze matematycznym ogarniającym prawidła tak dla olbrzymich planet jak i najdrobniejszych atomów.

Ten więc duch przez nas pomyślany — zwany przez Dubois-Reymonda duchem Laplace'a lub Leibnitza — posiadłby wszystko to, co ludzkość kiedykolwiek, badając przyrodę, posiąść może. —

Z czego wypływa w dalszem następstwie, że, jeżeli dla tego ducha istnieją granice poznania, których on nigdy nie przekroczy, istnieją one tem samem i dla ludzkości, gdyż ta w najwyższym rozkwicie swego poznania, zaledwie mogłaby dorównać duchowi Laplace'a.

A takie granice są dwie.

Pierwszą stanowi dotąd nierozwiązana i nigdy nie mająca być rozwiązaną kwestya materyi i siły. Skąd się wzięła materya, to pewne podścielisko, które nam się przejawia w formie najrozmaitszych ciał, skąd się wziął ruch — o tem n a u k a milczy. Nawet duch Laplace'a nie mógłby nam w tej kwestyi dać bliższego objaśnienia. Cożby mógł on bowiem uczynić? Będąc w posiadaniu wzoru wszechświatowego mógłby wprawdzie podstawiwszy za czas — ujemną nieskończoność ($t = -\infty$) wykryć początkowy stan rzeczy, mógłby się dowiedzieć w jaki sposób przyszło np. do rozdzielenia się jednolitej masy kosmicznej na globy, ziemię, słońca — ale nigdyby się nie dowiedział skąd się wzięło to „coś“ poruszające się — materya i jej pewien

stan „ruch". Materyę i ruch musi przyjąć nauka już jako coś danego i pewnego, dopiero zaś potem są możliwe najrozmaitsze badania i dociekania.

Drugą granicę w naszem poznaniu tworzy i tworzyć zawsze będzie — świadomość. Nikt nam bowiem nie wytłómaczy jej istnienia zapomocą ruchów pewnych cząstek mózgowych w naszym organizmie, jakby to się na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Istota wszystkich czynności duchowych ma pozostać dla nas wieczną zagadką dla tego, że czynności te leżą na zewnątrz prawa przyczynowości. Nie potrafimy nigdy, najdokładniejszemi obliczeniami ruchów cząstek w mózgu wytłumaczyć sobie, dlaczego te a te stany psychiczne istnieją i dlaczego są takiemi a nie innemi. Wiemy tylko tyle na pewne: że czynnościom psychicznym towarzyszą zazwyczaj pewne procesy międzycząstkowe; ale dlaczego jeżeli się dany proces pojawi występuje równocześnie jakiś oznaczony stan psychiczny — tego nawet i duch Laplace'a nigdy wiedzieć nie będzie. I chodzi tutaj nie o jakieś wyższe duchowe czynności, ale po prostu: każde najprostsze zjawisko psychiczne np. uczucie przyjemne lub nieprzyjemne najpierwotniejszego organizmu zwierzęcego — wykopuje niezmierną przepaść, przez którą pomostu ludzkość nigdy — jak mówi autor — nie przeprowadzi.

Te są dwie granice, poza któremi leży świat dla człowieka niedostępny nigdy na drodze naukowej.

Teodor Mianowski.

MŁODE PIÓRA

Psalmy boleści.

II.

Ciemno, ciemno! I którędyż płynąć,
Gdzie jasnych dróg, bezpiecznych szukać szlaków?
Tu pełno krawych pełno łzawych znaków!...
I gdzież jest przystań, by do niej zawinąć?
O Panie, Panie, rozjaśnij mi niebo,
Wskaż cel i drogę do prawdy, do celu,
Bo padnę, o Panie, bo zginę jak wielu, —
Rozjaśnij mi niebo!

Panie, jam ufał i w życie i w siebie.
Ochoczom ramiona wyciągał do świata...
Czyż złudą ta gwiazda, co lśniła na niebie,
Czy snem te lata?
Raźno, jak strumyk stanąłem do biegu —
Czyliż u źródła tylko kwiatów rój?
Czyliż mi nigdy na jasnym gdzieś brzegu
Choć kwiatek nie błyśnie, aż pod warstwę śniegu
Zakrzepnie życia zamącony zdrój?

Straszno, straszno! W ciemnych snów pomroce
Zagasło jasne światło duszy, śladem
Zwątpienie kroczy i piekielnym jadem
Noce mi w piekło a dni zmienia w noce!
O Panie, Panie, choć kropli daj rosy,
Bo uschnę, jak ziarno usycha na skale,
Bo zwiędnę, jak zwiędnie kwiat w skwarnym upale,
Choć kropli daj rosy!

Panie, jam ufał i w świat ten i ludzi,
Jam rękę każdemu podawał z otuchą...
Czy życiem jest wichr ten, co serca ostudzi?
Tak ciemno, głucho!
Czyż w myśli tylko, co prawdę i cnotą,
Czy baśnią wszystko, prócz cierni i łez,
Prócz walki ze złością i zgniłą ciemnotą, —
Aż ciernie zawodów mogiłę mi splotą,
Skrwawiona stopa swój nadepce kres?

Czarno, czarno! Gaśnie blask świętości,
A wichr zepsucia z podłych prochów ziem
Bożyszcza piętrzy i pada przed niemi.
Woniejąc trupem wciąż rodzi się w złości!
O Panie, Panie, promienia choć z nieba
I gwiazdy, by sterem mi była wśród morza,
Bo wiry mię porwą i trącą w bezdroża,
Promienia choć z nieba!

Panie, jam ufał! — O nie bierz nadziei,
Ja ufam, o Panie, w mą wiarę ku Tobie
I ufność uniosę z tej strasznej zawiei
W tym życia grobie!

Wśród świstu wichrów głos wznoszę do góry,
Drżący, bo z bolem — a straszny to ból,
Lecz silny nadzieją przebija on chmury...
I wzrok mój świetlane powita lazury
I światłość wielką u niebieskich pól!

Brzeżany.

R. S.

Kierz jemioły.

Nowelka na tle prawdziwem.

Dzień był gorący, lipcowy. Słońce — zda się — żar ognisty wylewało na spieczoną i wyschniętą ziemię, która zamierała pod wpływem palących promieni. Cisza zalegająca wioskę świadczyła wymownie o bezwładności, jaka w południowych godzinach zwykła ogarniać wszystko, co żyje.

Za wioską szumiał poważnie las sosnowy, upajający obecnie wonią żywiczną i stary to był las, dawne pamiętający czasy. Najstarsi we wsi bawili się jako dzieci w jego cieniu, a już wtedy był on tak stary, jak i dzisiaj, wiecznie mchem bujnym zarosły, wiecznie poważnie i tajemniczo szumiący pieśń o ludziach innych, którzy wioskę te zamieszkiwali, a dzisiaj już śpią snem nieprzerwanym w żółtych mogiłkach na cmentarzysku wśród tego lasu.

Był to — rzekłbyś — las w lesie. Las krzyżów i krzyżyków, z których wiele już szarym mchem porosło i nagięło się ze starości ku ziemi. Niektóre świeżo było wkopane w ziemię, pomalowane w różne barwy, najczęściej na czarno, z Chrystusem rozpiętym na ramionach, ręką wiejskiego rzeźbiarza - artysty wyrzeźbionym. Niezgrabne to były figury, lecz rzeźbione z sercem szczerem i przepełnionem żalem serdecznym za tymi, których żółty przysypał piasek.

Ot, byle Bogu na chwałę, a duszom cierpiącym w ogniu czyścowym na zbawienie!

W rogu cmentarzyska, kędy grzebano wedle wiejskiej tradycyi samych „topielców“ i ubogich, stała trupiarnia, mała, zbudowana z nieociosanych bierwion, opatrzona jednem okienkiem w tylnej ścianie, słomą kryta. Dawniej stała pusta, a składano w niej trupa tylko wówczas, kiedy ktoś ze wsi utopił się w bagnach, zalegających w jednej stronie wiejskie pastwiska „dyabelskim“ zwanych „rogiem“ lub kiedy w borze ktoś z ubogich

„zamarł“ z głodu czy ze starości. Miejsce to na cmentarzysku ludzie zawsze ze strachu omijali, a tylko w dniu Zaduszuym, raz w rok w procesyi za umarłych, róg cmentarza rozbrzmiewał słowami starodawnej pieśni pogrzebowej:

„Jezu dobry, a nasz Panie,
„Daj im wieczne spoczywanie
„Jezu Panie!

Wreszcie, kiedy razu pewnego wielki pożar nawiedził naszą wioskę, po którym wiele ludzi zostało bez dachu na głową, bez chleba, pleban wioski, sedziwy staruszek, prawdziwy ojciec swych owieczek, w trupiarni owej umieścił dwóch najbiedniejszych starców, którym nie straszne były noce spędzane wśród „wisielców“, poleciwszy im tylko dopilnowanie cmentarzyska przed szkodnikami, jakiemi były w lecie psy, a w zimie nierzadko wilki zgłodniałe, które odgrzebywały świeżo pochowane trupy. Drugiem, niemniej ważnem zadaniem mieszkańców trupiarni było oczyszczanie cmentarza z zielska bujnie rozrosłego na grobach.

Zajęcia te, nie obarczały zbytnio obu staruszków. Rozgościli się też oni wnet w swej nowej sadybie. Pozatykali mchem z lasu zniesionym szpary w ścianach, opatrzyli na zimę drzwi i okienko, a wnet z dymnika trupiarni wzniósł się w góry dym, gość niebywały w tem dzikiem ustroniu, zamieszkałem dotychczas przez duchy i ptaki nocne. Wystraszony puszczyk po raz pierwszy zmuszony był opuścić swe gniazdo nad pułapem i szukać gdzieindziej siedliska. Tam, gdzie niedawno w nocnej ciszy rozlegało się jego posępne: „pójdź“, „pójdź“, po którem, jak mówili starzy we wsi, umierał każdy, kto głos ten słyszał, teraz człowiek — puszczyk założył swe ognisko sieroce, aby uwarzyć przy niem nędzną strawę ofiarowaną przez litościwe serca. Dym ten wystraszał psy z cmentarza, a w zimie trzymał w przyzwoitej odległości zgłodniałe wilki, których przeraźliwe wycia tysiącznem echem rozlegały się po lesie.

Tak żyli sobie spokojnie stary Wojciech i Jan, pleniąc chwasty z cmentarza na wiosnę, a w lecie chodząc do lasu na grzyby i jagody leśne. Pierwszy z nich szczególną pałał nienawiścią do akacyi, która dawniej bujnie zarastała cmentarzysko.

— „Póki jeszcze — zwykł był mawiać — ja chodzę po świętej ziemi, zielsko to tutaj nie będzie rosło!“ —

Drugą jego namiętnością, było — rzecz dziwna — zbieranie jemioły w lesie, która, jak wiadomo, rośnie na pniach starych sosen, i zdobienie nią krzyżów na cmentarzu:

— „Ot, — mawiał — nieboszczykowi wióry za posłanie, deski za mieszkanie, a kierz jemioły za przybranie!“ —

Poczem zwracał się do starego Jana, mówiąc:

— „Pomnijcie, Janie, kiedy zamrę, i mnie krzyż jemiołą przybrać“!

A stary Jan odpowiadał:

— „Ot wam śmierć w głowie! Dyć ja już żyję dłużej na świecie i prędzej mi się do ziemi iść patrzy“!

— „Dawne czasy, hej! dawne bardzo, kiedym był małym“ — mruczał Wojciech odchodząc.

W duszy przyznawał on staremu Janowi słuszność, lecz starzy często mają swe urojenia, które trudno im wybić z głowy.

Trzy lata minęło tak obojgu na cmentarzysku, długie trzy lata. Nie raz jeszcze otwierano wrota cmentarne i nowy nieboszczyk przybywał do dawnych. I znowu ożywił się cmentarz na chwilę, zabrzmiało smętne „requiem aeternam“, poczem pusto robiło się na starym cmentarzysku, tylko świeży pagórek jaśniał żółtym blaskiem czas jakiś, lecz i ten wnet porastał trawą, a na nowym krzyżu, niewprawną ociosanym ręką, stary Wojciech umieszczał swój ulubiony.... kier jemioły.

Po raz trzeci opadły już liście z drzewa, odkąd Wojciech i Jan zamieszkali starą trupiarnię. Ostatni zgarbił się już ku ziemi i powłóczył trudnością nogami. Wojciech musiał mu niejednokrotnie usłużyć, wody przynieść lub chrustu z lasu. Po raz trzeci rozbrzmiał na cmentarzysku „kąt topielców“ słowami pieśni pogrzebowej:

„Jezu dobry, a nasz Panie,
„Daj im wieczne spoczywanie,
„Jezu Panie!

Nie miał jej już po raz czwarty usłyszyć stary zbieracz jemioły.

Przeżył jeszcze twardą zimę i piękną wiosnę, kilkanaście jeszcze nowych krzyżów przybrał jemiołą i tak dożył do lata.

Kiedym w gorący dzień lipcowy zaszedł raz przypadkiem na cmentarz, zastałem go schylonego nad ziemią, z której usiłował wyrwać świeżo wyrosły krzak akacyi. Obok niego leżał uzbierany pęk jemioły. Spytałem go, co porabia.

— „Póki jeszcze ja chodzę po tej świętej ziemi, zielsko to nie będzie tutaj rosło“!

Wyrwał akacyę i odrzucił ją daleko od siebie. Następnie pozbierał swą jemiołę i zabierał się do odejścia:

Zapytałem go powtórnie, na co zda mu się to ziele, które trzymał w ręku.

— „Ot, panie kochany, nieboszczykowi wiory za posłanie, deski za mieszkanie, kierz jemioły za przybranie!

— „Toż chyba Wojciech nie wybiera się jeszcze na tamten świat?“ — wtrąciłem, wiedząc o dziwacznem przyzwyczajeniu starego.

Machnął ręką i odszedł powoli w stronę trupiarni, z za węgłów której wyzierała don już śmierć cicha.

. . . .

. . . .

W dwa dni później nad wieczorem stary Jan, nie mogąc doczekać się Wojciecha, zwlókł się z tapczaną, by go odszukać na cmentarzysku. I znalazł Wojciecha w kącie, kędy grzebano „topielców“ lecz już zastygłego.

Na świeżej mogile starego Wojciecha oglądałem w kilka dni po pogrzebie wgrzebany w ziemię ręką Jana „kierz jemioły“.

J. Krzyszkowski.

W przededniu sprowadzenia zwłok Słowackiego i Chopina.

Płyną, płyną pod niebiosa polskich dzwonów głosy.
Jakie hymny wzniosłe, święte, dzwięczą po łzach rosy?
Ach już widzę... czarne trumny, widzą moje oczy,
Jak z zwłokami dwóch mocarzy pochód ku nam kroczy. —

Jakaś słodka pieśń brzmi cudnie, ponad polskie niwy
Wita Mistrzów swoich Twórców polski hymn prawdziwy.
Jego duch to rozkołysał struny harf ojczystych
I wydobył milion dzwięków, świętych i przeczystych.

Twórcy! Mistrze! waszą lutnią serca, dusze nasze
Polskie, szczere!..... Pieśn srebrzysta, myśli wzniosłe Wasze
Krew nam naglą ustawicznie do żywszego tętna
Tak, iż zniczem zmartwywstania płonie pierś choć smętna!

Lecz w mem sercu ból straszliwy, rwą pierś jakieś szpony
Ostre, straszne! — pieśnią wieszczów duchu uświęcony
Czego jęczysz smutkiem, żalem?.... toć to ze Zachodu
Niosą serca dwa tułacze! niosą dla narodu!

Niosą... niosą... lecz ma dusza z hymnu tony drzące
Jak się skarzą mistrzom swoim, słyszy bolejące
Skarga! Skarga na bluznierców, którzy hańbą kryją
Cześć najświętszą swej ojczyzny, wieniec z cierni wiją.

Ach, źli oni! Ach źli oni!... jak że wiek ten zimny
Swoich wieszczów w dom przyjmuje!... Czy zamarły hymny?.
Polsko! Matko! Któż więc witać Twoich wieszczów może
Jak okropne to przyjęcie... Matko święta... Boże!

Lecz jam młodość, sercem silna — rzucę się na trumny
Och! Jak to Was ukochał, jak miłością dumny...
Już przyciskam Was do łona — myśli, dzwięki, tony!
Chcę was wszystkie, chcę ogarnąć, duch mój zapalony!

Cicho... słyszę... drzą anielskie pienia
Ach! już wlały nektar w serce, nektar ukojenia. —

Lwów w kwietniu 1899.

F. Ch.

Gimnazyum polskie w Cieszynie.

Wyplenić! hasło mordercze nam rzucił
Krzyżak zdradliwy...!
(Piotr Porylak).

Kiedy w roku 1895 dzięki niezmordowanym staraniom „Macierzy polskiej na Śląsku“, gorliwemu poparciu prasy i ofiarności ogółu, otwierano gimnazyum polskie w Cieszynie, całe społeczeństwo galicyjskie powitało ten fakt z uczuciem podniosłej, a niekłamanej radości.

Wiadomość o długo oczekiwanym terminie otwarcia zakładu (który oznaczono na dzień 10. października 1895 r.) rozniosły pisma codzienne i peryodyczne, wszystkich trzech zaborów, po całym obszarze ziem polskich komentując z rzadką jednozgodnością jego doniosłe znaczenie, podnosząc go niemal do wyżyn narodowego święta. I nie dziw, bo w dniu tym, na zapomnianych kresach, w prastarej piastowskiej dzielnicy, stawała nowa strażnica polskości, by budzić, utwierdzać i rozszerzać narodowego ducha wśród polskiego ludu, który choć biedny i ciemny od wieków opuszczony i zapomniany przez swoich, a poniewierany i kuszony przez obcych, czujnie strzegł i bronił każdej piędzi ziemi ojców swoich, nie zaparł się ich wiary ani ich mowy nie zapomniał.

A nie wznosiła tej twierdzy państwowa *„iustitia — regnorum fundamentum“*, która dziś z napisu na szarych murach wiedeńskiego burgu — zdaje się urągać „mniej wartym narodom“ austryackiego państwa, ale powołała ją do życia ofiarność narodu rozbudzona przeświadczeniem o konieczności samoobrony i myśl zdrowa, szeroka, patryotyczna — myśl obejmująca dalekie widnokręgi narodowego życia, myśl, która wybiega poza pstre słupy kordonów, bo jej w ich granicach duszno i ciasno. To też łatwo wytłómaczono sobie ten gorący entuzyazm i zapał z jakim społeczeństwo polskie z pod wszystkich trzech zaborów, witało założenie cieszyńskiego gimnazyum. Zapał ten pozwalał rokować najpiękniejsze nadzieje i zapewnioną przyszłość instytucyi – która już w pierwszych chwilach swego istnienia przez wszystkich zarówno i niepodzielnie ukochaną została.

*
* *

Od tej chwili minęły z górą trzy lata — okres czasu aż nadto wystarczający w pierwszym rzędzie do tego, aby zapewnić byt instytucyi i położyć silne materyalne podstawy jej dalszego rozwoju.

Szczupłe ramy artykułu i cel jego nie pozwalają na szczegółowe zestawienie wszystkich trudności, znanych szerszemu ogółowi ze szczegółowych relacyi prasy codziennej, z jakiemi gimnazyum polskie w Cieszynie, od pierwszej chwili swego otwarcia, walczyć musiało i z jakiemi walczy do teraz. Niepodobna przypominać tych wszystkich intryg i „sposobów“, jakimi posługiwała się mniejszość niemiecka, najpierw aby otwarciu zakładu przeszkodzić, później aby otwarcie to opóźnić; wreszcie, ażeby odstraszyć lub odstrychnąć od niego młodzież, co się ochotnie i serdecznie ku niemu pogarnęła. Pierwsze strzały krzyżackie chybiły celu. Na prostą kronikarską wzmiankę, iż „*szulverein*“ niemiecki ponoś zamierza ufundować trzy stypendya dla uczniów narodowości polskiej uczęszczających do gimnazyum niemieckiego, w przeciągu niespełna jakiego miesiąca ufundowała Galicya kilkadziesiąt takich stypendyów dla ubogich uczniów gimnazyum polskiego; korporacye, stowarzyszenia i ofiarność zamożniejszych jednostek prześcigały się wzajemnie w spełnieniu tego narodowego obowiązku. Podrażniona ambicya narodowa, zapał szczery, a co ważniejsza ogólny, zrobiły swoje. To, co nienawiść niemiecka obmyśliła na podkopanie bytu polskiej instytucyi, przyniosło jej trwałą i rzetelną korzyść.

Chwycono się innych środków. Poczęto straszyć lud, że gimnazyum nie otrzyma prawa publiczności. Ogół przyjął pogróżki te ze spokojem — w przekonaniu, że najbliższa przyszłość wykaże ich bezzasadność.

Uczyniono przecież zadość najdrobniejszym formalnościom, zakład urządzono według najświeższych ustawowych przepisów; ciało nauczycielskie ukwalifikowane jak najlepiej, pod przewodnictwem wytrawnego pedagoga, który na polu wychowania miał za sobą zasługi niespożyte i długi szereg lat nieskazitelnej publicznej służby, dawało najpewniejszą rękojmię, że zadanie swoje należycie spełnić potrafi; co najważniejsza zaś państwo na utrzymanie gimnazyum nie łożyło ani złamanego szeląga.

„Od czegoż zresztą — powtarzano — ministrowie rodacy, reprezentacya krajowa, owo wpływowe koło polskie — które przecież potrafi o prawa nasze upomnąć się i sprawę gimnazyum skutecznie poprzeć“. A jednak „na niebie i ziemi dzieją się czasami cuda, o jakich się filozofom nie śniło“.

A jednak trzeba było i czasu i słów nie mało, i całego szeregu zgromadzeń, mów i rezolucyi, aby Kołu polskiemu przypomnieć jego obowiązek w tej sprawie.

Pod presyą opinii publicznej, która zaczynała już grozić pręgierzem — „wyjednano“ wreszcie to, co się nam z ustawy i słusznie należało i przyznano gimnazyum polskiemu w Cieszynie prawo publiczności.

Polskiemu stronnictwu ludowemu, które wiecem, d. 19. lipca 1897 r. w sali ratusza lwowskiego odbytym, akcyę społeczeństwa rozpoczęło i rozbudziło — należy się za to niezaprzeczona i rzetelna zasługa.

*
* *

Łożyć na cele oświaty ludu, z którego rokrocznie wyciska się miliony w podatkach krwi i pieniędzy — jest przedewszystkiem obowiązkiem państwa. Względy słuszności i sprawiedliwości — przekonanie i wola ogółu społeczeństwa, która w konstytucyjnem państwie winna być źródłem wszelkiego prawa i drogowskazem dla czynności każdego rządu — domagają się jednozgodnie, ażeby państwo wobec potrzeb dwustotysięcznej przeszło ludności polskiej na Ślązku ten swój obowiązek spełniło i przyjęło gimnazyum w Cieszynie na etat rządowy.

I tu znowu nastręczało się Kołu polskiemu wdzięczne pole do działania. Chciejmy wierzyć, że nie brakło mu po temu szczerych chęci — dlaczegoż zabrakło siły, odwagi i czasu? Zamiast wyzyskać swoje dziś jeszcze wpływowe w państwie stanowisko, zamiast postawić śmiało, jawnie i niedwuznacznie swoje ultimatum — Koło polskie wolało losy cieszyńskiego gimnazyum poruczyć staraniom mniej lub więcej wpływowych swoich członków — i żebrać po ministeryalnych przedpokojach o to, co nam się nie jako akt łaski, ale słusznie i prawnie od rządu należało; zamiast skorzystać z chwili i strzedz narodowego interesu, jak to czynią Czesi, wolało Koło snuć smutne reflekcye na temat „rysujących się podwalin państwowego gmachu“ i toczyć długie, choć bezpożyteczne dyskusye nad zażegnaniem „chmur, które zaciemniły horyzont politycznego bytu austryackiej monarchii“.

Rezultat takiej chwiejnej, trwożliwej polityki „nie narzucania się i nie drażnienia“ miarodajnych czynników nie trudnym był do przewidzenia.

Chmurna i krótka a co gorsza niczem nie uzasadniona odpowiedź ministra oświaty grafa Byllandta — że nie „przyjmie

gimnazyum cieszyńskiego na etat rządowy“ — oto co Koło polskie narodowi swojemu przywiozło „na gwiazdkę“. — Więc czyż można się dziwić, że mimo tej powszechnej obojętności i apatyi, cechującej dzisiejsze galicyjskie społeczeństwo ogół przyjął wiadomość tę z uczuciem smutku i żalu, których (rzecz to niebywała) nawet „złocisty deszcz“ jubileuszowych orderów i odznaczeń — nie zdołał rozpędzić z twarzy, ani wyrugować z serca... A dziś! czyż możemy mieć nadzieję, że to, czego w normalnych warunkach konstytucyjnego życia nie zdołała nam wywalczyć nasza własna, potężna liczbą reprezentacya krajowa, da nam dobrowolnie i wstydliwie austryacki paragraf 14!...

Nie łudźmy się i nie okłamujmy! „Justitia — regnorum fundamentum“ — to przecież tylko... napis na starych murach wiedeńskiego burgu. (D. n.).

W sprawie emigracyi zdolności*).

W chwili, gdy w Galicyi z żywiołową siłą szerzy się emigracya na tle ekonomicznem wśród ludu, gdy przybiera wprost charakter klęski narodowej z winy oświeconych, warstw społecznych, które „spiewając samym sobie“ w celu powstrzymania lub umiejętnego pokierowania wychodźtwem żadnych nie poczyniły starań, wystąpił sławny filozof polski dr. Lutosławski z artykułem, w którym poruszył sprawę emigracyi zdolności, nie mających w kraju widoków rozwoju do zagranicznych centrów cywilizacyi. Artykuł ten zamieszczony w łamach „Kraju“ wywołał odpowiedź ze strony p. Tadeusza Żuk - Skarczewskiego a następnie Elizy Orzeszkowej.

Ponieważ ta sprawa w pierwszej linii młodzież interesować powinna, a dotąd zasadniczo nie była poruszona, poświęcić jej musimy trochę więcej uwagi.

Dr. Lutosławski postawił tę kwestyę trochę ogólnikowo, co ułatwiło ostrą odprawę na jego wywody, która jednak kwestyi nie rozstrzygnęła i wiele argumentów pozostawiła bez odpowiedzi.

Człowiek, mający parę zdrowych rąk i chęć do pracy, nie znajduje jej w kraju, przymiera głodem albo, żywiąc się podłą strawą, choruje na tyfus brzuszny lub szkorbut. Przez współo-

*) Zobacz kronikę.

bywateli uważany jest za liche i niebezpieczne zwierzę a łachmany jego budzą w każdym odrazę. Kradłby, ale w niem coś krzyczy „nie kradnij“ więc się boi a jeszcze więcej boi się żandarma.

Stan jego jest opłakany a wprost okropny jeśli ma żonę i dzieci. W tem dowiaduje się, że w sąsiednim kraju jest robota, za którą dobrze płacą przy budowie kamienic czy kolei, zbiera resztę sił i chleba trochę do worka i idzie do Ostrawy czy Westfalii czy Budapesztu i tam na obczyźnie jak skarb drogi chowa swój język ojczysty i zdobywszy trochę mienia wraca do kraju, który go karmił piołunem. Co powiemy o takim człowieku. To ucikinier z pod sztandarów narodowych! Kwiat swych młodych lat strwonił za granicą. Siłę produkcyjną wywiózł z kraju i obcym ją oddał za srebrniki. Pracował dla wrogów! Ja myślę, że tak jak zrobił dobrze zrobił.

Teraz weźmy inny przykład.

Ktoś ma wielkie zdolności w kierunku specyalnym, dajmy na to matematycznym, a ze zdolnościami temi łączy gorące pragnienie poświęcenia się całkowicie temu przedmiotowi. Pragnienie to weszło w jego krew, stało się głodem duchowym — koniecznością.

Ten człowiek miał jednak nieszczęście urodzić się Polakiem i to Polakiem w Królestwie. Jeśli nie jest bogatym z urodzenia, a ma nadto rodzinę, nauce poświęcić się nie może, bo nie ma dla niego miejsca w rzędzie rosyjskich profesorów.

Mógłby się wprawdzie zmoskwicić, lecz nie chce, bo obok nauki kocha swą narodowość całą głębią uczucia. Nie ma dla niego wyjścia. Postanawia kraj opuścić. Udaje się na obczyznę, zdaje doktorat i, zyskawszy uznanie za swe prace naukowe habilituje się gdzieś na uniwersytecie zagranicznym. Czy ten człowiek zasłużył sobie na wyrzut ze strony społeczeństwa swojego, że je zdradził. Czy poprostu ze stanowiska etyki społecznej wolno mu tak uczynić? Zapewne, że wolno, ale tylko wtedy, jeżeli n a p r a w d ę w kraju pracować na polu narodowem n i e m o ż e.

Przypuśćmy, że zostanie w ojczyźnie. Co z niego będzie miało za pożytek społeczeństwo? Rzuci naukę, wstąpi do kolei lub jakiego urzędu będzie pełnił funkcyę trochę więcej niż automatyczną, będzie jednostką bardzo nieszczęśliwą i z swego losu niezadowoloną, a jeżeli chodzi o wpływ moralny na społeczeństwo t o b ę d z i e s z e r z y ł n a j g o r s z ą z e z g n i l i z n

duchowych — zwątpienie. Lecz nie! Taki geniusz naukowy, to olbrzym ducha on złamie wszelkie przeciwności, nauki nie porzuci, będzie się trudnił guwernerką lub nawet biórową pracą lecz przytem będzie dalej prowadził owe studya; dla nauki pozyska setki pracowników na niwie ojczystej, ku szczytowi będzie szedł na czworakach, ale dojdzie. Zapytać się jednak musimy, czy rzeczywiście zdolności naukowe łączą się zawsze z nieugiętą wolą i wytrwałością, czy raczej nie jest przeciwnie? Czy dalej praca naukowa w dzisiejszych warunkach możliwą jest bez odpowiednich środków naukowych, czy wreszcie wogóle możliwą jest ona w atmosferze ucisku po całodziennej mechanicznej pracy umysłowej. Zapewne że nie. Ale powie ktoś z p. Żuk-Skarczewskim „Wolę w Przyszowej lub Poniemóniu dobrego nauczyciela ludowego, niźli w Bostonie — już nie komentatora Platona genjalnego, lecz nawet samego polskiego — Platona!“ Przypomina mi się ballada Schillera o tym skrzydlatym koniu, co go zaprzęgli do pługa.

Nie! Lepiej jest, że genjusz choćby za granicą rozwinie swe skrzydła, jakby je miał potrzaskać w ojczyźnie. To nieprawda, że mógłby się stać dodatnim czynnikiem w społeczeństwie zmarnowawszy zdolności, bo jak powiedzieliśmy wyżej, będzie siał wśród ziomków zgniliznę moralną zwątpienie, nie prawda również, by wyszedłszy z kraju został dla niego straconym. Czyż Mickiewicz mniej się przysłużył sprawie ojczystej, że napisał trzecią część „Dziadów lub Pana Tadeusza“ za granicą niż gdyby go napisał w Polsce, a Słowacki, Lelewel, Chopin, Krasiński, Siemiradzki a tylu innych! Przecież oni wszyscy służyli ojczyźnie wiernie i uczynili dla niej więcej, niż gdyby w kraju zostawszy, ugięli kark pod jarzmo rosyjskie i zmarnieli w dusznej atmosferze, dla niej więcej dobrego niż ktokolwiek w kraju, chociaż jeden z nich nawet był profesorem literatury słowiańskiej na francuskim uniwersytecie a przedtem profesorem literatury łacińskiej w Lozannie. A dr. Lutosławski na przykład. Opuścił kraj i zamiast jak chce p. Skarszewski być nauczycielem w Przyszowej lub Poniemoniu komentuje Platona i rozwija swój system filozoficzny, na którym wyrył dobitniej piętno polskiego ducha jak którykolwiek z polskich Heglistów, piszących po polsku. Słusznie uważa dr. Lutosławski, że taka praca dla narodu stracona nie jest.

Po za tą ściśle naukową działalnością rozwija dr. Lutosławski dla uczonego polskiego za granicą program działalności

pedagogicznej. Przypuśćmy, że zdolny Polak, tak dobrze jak zdolny Francuz, Anglik lub Niemiec zdobył katedrę na jednym z zachodnich uniwersytetów:

„Wtedy pozyska środki dla daleko wszechstronniejszych badań i będzie mógł nawet corocznie sprowadzać, jako gości do siebie kilku zdolnych studentów rodaków, którzy pod jego kierunkiem wykonają dzielne prace i powrócą do kraju zarażeni amerykańską energią i produkcyjnością, szerząc u nas te zalety, których nam brak tak bardzo“.

Co za piękny projekt! Studya a względnie uzupełnienie studyów za granicą ma zwłaszcza dla Królestwa obok czysto naukowego znaczenia, którego najlepszym dowodem, że prawie wszyscy znakomitsi profesorowie polskich uniwersytetów we Lwowie i Krakowie bawili przez krótszy lub dłuższy czas na uniwersytetach zagranicznych, także ogromne znaczenie narodowe.

Czyż dobrem jest dla polskiego charakteru nauki, gdy nasz przyszły uczony czerpie swą wiedzę i język naukowy z ust rosyjskich jeno profesorów na uniwersytetach warszawskim, kijowskim, petersburskim i innych z językiem wykładowym rosyjskim, gdy nauce i cywilizacyi rosyjskiej nie umie przeciwstawić cywilizacyi zachodniej, bo jej nie zna z innych jak tylko z rosyjskich źródeł. I znowu powie mi ktoś na to, że uczeń polski powinien się oprzeć wpływowi rosyjskimu bez obcej pomocy powinien obok nauki w języku i duchu rosyjskim, która potrzebną mu jest do egzaminów, uprawiać inną europejsko-polską, protestować przeciw każdemu słowu wypowiedzianemu z katedry przez Moskala. Czy to możliwe? A niema słuszności społeczeństwo, jeżeli od członków swych wymaga niemożliwości i ciągłego bohaterstwa, zaparcia się nie tylko egoistycznych ale i wyższych idealnych celów, bo to nad siły człowieka. A jest wprost szkodliwem dla niego, jeśli łamie wielkie siły jednostek, tem się samo osłabia i chociaż nie możemy przyznać zupełnej słuszności drowi Lutosławskiemu, gdy pisze, że:. „Istnienie narodu i jego potęga zależy nie od ilości ciał, lecz od wartości dusz. Jedna wielka dusza więcej może zrobić nawet na dożywotnem wygnaniu, niż milion tchórzów małodusznych garnących się do chat rodzinnych“, nie możemy jednak uznać też tezy p. Skarszewskiego. „Nie wzbogacone i wybujałe jednostki siłę stanowią społeczeństwa, ale zamożny i oświecony ogół“. Narodowi trzeba zamożnego i oświeconego, moralnie wysoko stojącego

ogółu, lecz równie potrzeba mu bardzo wielkich, energicznych, światłych dusz.

Armia nie składa się z samych szeregowców i nie z samych wodzów, tam jedno i drugie zarówno potrzebne. Dlatego też społeczeństwo powinno otoczyć swą opieką wybitne jednostki, aby nie zabrakło wodzów. Powinno dać takim wielkim jednostkom w własnym interesie obok miłości do wszystkiego co dobre, piękne, co swojskie, także możność zdobycia wiedzy, a jeżeli nie może mu jej dać samo, to nie powinno posyłać go po nią do wrogów, aby tam snadnie nie zatracił tej pierwszej i świętej miłości, którą żyją wszystkie wielkie dusze i wielkie dzieła. niech go lepiej pośle do obcych niewrogów, wtedy rezultat będzie lepszy, zwłaszcza, gdy się tam na obczyźnie znajdzie ziomek, co tym młodzieńcem pokieruje i pokaże jak można łączyć miłość nauki z miłością narodu, a dzieła nauki z działalnością patryoty.

Kiedy już o działalności patryotycznej mowa, to wspomniał dr. Lutosławski o jednym jej rodzaju, którego zaniedbanie jest ze strony oświeconego społeczeństwa polskiego poprostu zbrodnią. Mam tu na myśli ruch emigracyjny naszego włościaństwa. Kiedy tych biedaków w naszym kraju zatrzymać nie można kiedy nie można im dać pracy, by mogli na chleb suchy dla siebie i dla dzieci zarobić, kiedy nie dało im się w kraju na tyle oświaty, aby sobie sami mogli dać radę na drugiej półkuli, to przynajmniej trzeba było się nimi choć trochę zaopiekować, a nie wydawać ich na łup zagranicznych agentów, od których nie można wymagać dla nich sympatyi, jeżeli my sami na nic więcej prócz słów oburzenia zdobyć się nie możemy.

Rozbijają swe namioty ci wygnańcy na obcej ziemi i skupiają się, broniąc swej mowy, swojej wiary i swego obyczaju lecz to są żołnierze bez wodza Pada więc jedna polska wada po drugiej pod naporem anglo-saksonów. Obowiązkiem naszym dostarczyć im przywódców -- wszak się podnoszą skargi na hiperprodukcyę inteligencyi. My wywiązujemy się z naszego obowiązku, wyrzucając do Ameryki wszelkiego rodzaju niepewne indywidua, dla których lud polski głęboką tylko może czuć pogardę — defraudantów, nie możliwych w kraju księży i t. d.

Tym ruchem emigracyjnym zawładnąć, dla bytu narodowego na drugiej półkuli stałe położyć podstawy, czyż to nie piękne nie wzniosłe zadanie dla patryoty, które spełnić może tysiąc mil od kraju!.

Tak! Za granicą można wiele, bardzo wiele, zrobić dobrego dla swego narodu, lecz trzeba go prawdziwie i mocno kochać, aby na szerokim świecie pracować i żyć dla niego. A kto takie ma dla narodu kraju rodzinnego przywiązanie, ten mogąc w nim pracować z pewnością go nie porzuci — nie opuści uniwersytetu polskiego dla dwu lub trzech tysięcy złotych i nie przeniesie się na uniwersytet niemiecki. Dlatego też o ile nie można potępić kogoś, co zmuszony okolicznościami do opuszczenia rodzinnego kraju, przeniósł się do centrów naukowych Europy, tak nie można naszego potępiać robotnika, gdy szuka u obcych roboty i chleba, to znow głęboki żal musielibyśmy uczuć dla uczonego, co bez innego, prócz wyższej płacy powodu, opuszcza nasze zakłady naukowe i naszą młodzież, zamiast wieść do tej świątyni wiedzy, która stanowi potęgę narodów.

Kronika.

Nr. VI. Teki uległ konfiskacie za artykuł p. t. „Jak się broni powagi władz?“ W doręczonym nam wyroku sądowym podano jako powód konfiskaty, że „w artykule inkryminowanym usiłuje autor przez nieprawdziwe twierdzenia poniżyć rozstrzygnięcie c. k. Rady szkolnej krajowej wydane w sprawie strejku uczniów tutejszej szkoły realnej“. Artykuł skreślono w prokuratoryi cały, a zatem nie możemy powoływać się nawet na poszczególne ustępy i pojedyncze zdania pomienionej krytyki. Tyle nam jednak wolno powiedzieć. Artykuł oparty był na liście p. Greka do dyr. Gerstmana, a przeto wszystkie jego „nieprawdziwe twierdzenia“ mogą być uznane za takie dopiero z chwilą, gdyby proces wytoczony p. Grekowy przyniósł dowody tendencyjności i fałszywości przedstawiania faktów w otwartym liście. Miejmy zatem nadzieję, że chociaż na innej drodze i zapewne nie tak prędko wyświetlą się wszystkie szczegóły zajścia, stanie się zadość sprawiedliwości Dyrektor Gerstman wobec publicznego oskarżenia nie może uchylić się od publicznego sprawozdania ze swego postępowania. Miejmy.

wiarę, że winny poniesie karę bez względu na to, ktokolwiek nim będzie, czy pokrzywdzony jest wpływowym dyrektorem, co sądzi, że niesłusznie rzucono nań kamieniem potępienia, czy jest nim biedny uczeń, którego cała przyszłość jest zagrożona, czy ojciec, na którego nazwisko pada cień oszczerstwa — fiat iustitia!

* * *

„Euer Wohlgeboren ertheilen polnischen Lese — und Schreibunterricht,... ich untersage Ihnen diese Thätigkeit“ słowa te wyjęte z listu dyrektora policyi poznańskiej do jednej z Polek dały p. Tadeuszowi Smarzewskiemu temat do kilku pięknych uwag w „Kraju“.

„Policya pruska nauczyła się pisać wyraźnie. Gdyby młoda Polka chciała w Poznaniu uczyć dzieci po hiszpańsku, uzyskanie pozwolenia nie napotkałoby nadzwyczajnych trudności. Inaczej rzecz się przedstawia, gdy idzie o naukę języka polskiego. Rodzice uczyć dziecka nie mogą, bo dzień schodzi im na robocie. Szkoła o język polski się nie troszczy. Obcym uczyć nie wolno. Rzecz obmyślana znakomicie, by wyplenić polski druk i spętać myśl polską. A dzienniki niemieckie zawodzą chórem pieśń żałobną nad uciskiem niemczyzny w prowincyach polskich!“ Coby powiedział Marcin Luter, który pielęgnowanie mowy ojczystej uważał za dźwignię wiedzy i moralności, coby powiedział, gdyby ujrzał, w jaki sposób największe państwo pretestanckie pojęło myśl jego? Coby powiedział autor „Don Carlosa“, oklaskiwanego po dzień dzisiejszy na scenach berlińskich? Mogliby dziś obaj protestować dowoli. W czasach, w których żyjemy, głos entuzyastów nie waży na szali. Młodego Schillera lękano się w stolicach niemieckich, wykreślano mu całe sceny z dramatów; dziś pozwalają go grywać w całości. To, co się jemu wydawało ideałem, ludność niemiecka uzyskała już dawno dla siebie, a nie ma pono obawy, by słowa markiza Pozy tchnęły w nią poczucie sprawiedliwości dla tych, w których nauczono ją widzieć i śmiertelnego wroga i łup pożądany“.

„Są rzeczy, które slę słyszy codzień, na które codzień można się oburzać, a które, z powodu swej potworności, codzień wydają się nam niesłychane i nowe. Do takich należy zakaz policyi poznańskiej. Państwo karze tego, kto dzieciom powiada z jakich głosek składa się zdanie, którem rano witają rodziców, lub to, którem oddają cześć Bogu. Ileż to razy trzeba odczytać ten dokument, by nareszcie zrozumieć, że tak jest w istocie, i że w państwie pruskiem uchodzi to za rzecz uaturalną“...

... „Patrząc na to, uczymy się być wyrozumiałymi dla ludów, które popadały może również w zaślepienie, ale usprawiedliwiać mogą się tem, że popychały je do tego ból, rozpacz, trwoga przedśmiertna. Czem się usprawiedliwią Prusacy?...

... Prawdy nie zdławią. „Gdy naród jakiś — powiada im Wagner w sławnej swej broszurze — narzuca drugiemu swą wyższą cywilizacyę po to jedynie, aby mu odebrać jego odrębność narodową, to sam się pozbawia dobroczynnego posłannictwa i na wdzięczność nie zasługuje“...

... „Ciężko odpokutował naród polski za to, że przez dwa wieki patryotyzm jego skupiał się tylko w pewnych chwilach dziejowych, wybuchał tylko w ważnych wypadkach, przedzielonych długimi przerwami. Ciężko przyszłoby odpokutować pokoleniu dzisiejszemu, gdyby jego rozum, jego trzeźwość, jego rozwaga były tylko przyborami zbytkowemi, wydobywanemi wtenczas, gdy Europa na nas patrzy. Mądrość polityczna nie dlatego tak wielką ma wartość, iż od czasu do czasu zdarzają się chwile w których spieniężyć ją można, ale dla tego, iż bez niej grozi nam śmierć i zagłada“...

... „Prusakom wolno założyć czasem ręce, wypocząć, spojrzeć na dokonane dzieło — wolno im, bo tu nie idzie o ich byt. Braciom naszym nie wolno zaniedbać ani jednego dnia, ani jednej godziny — nie wolno pozwolić sobie ani na jeden błąd, ani na jedną lekkomyślność — nie wolno oddać się ani złudzeniu ani rozpaczy“.

* * *

W Muzeum czasopiśmie Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych znajdujemy artykuł p. t. „Czasopisma dla młodzieży“. Autor tego artykułu zajmuje się 4 czasopismami: Młodością, którą autor uważa *fałszywie* za organ akademickiej młodzieży lwowskiej i krakowskiej, Teką, Promieniem i Przyjacielem młodzieży.

Zajmujemy się tu przedewszystkiem uwagami o „Tece“.

Autor chwycił się najprostszego sposobu krytyki tych czasopism. Oto podaje kilku słowami (często zupełnie niedokładnie) program każdego z czasopism, cytuje potem kilka tendencyjnie wybranych zdań jako curiosa przy których w nawiasie dodaje częste *sic*, *sic*, milczeniem grobowem zaś okrywa wszystkie, coby inny pochlebniejszy sąd mogło o czytelniku wywołać. Zaiste przeczytawszy te streszczenia, przeglądnąwszy ten artykuł *musi* każdy nieuprzedzony przyznać za autorem krytyki, że „nie możemy biernie i obojętnie patrzeć na to jak *rozmyślnie i ze złą wolą* zaczynają podkopywać

fundamenty, które z trudem i mozołem układamy pod życie i przyszłość oddanej nam młodzieży“ każdy musi razem z nim zaprotestować „przeciw wciąganiu w wir walki młodzieży szkół średnich, przeciwko systematycznemu szczuciu jej na cały stan nauczycielski“.

Przypatrzmy się gdzie autor widzi w „Tece“ to „systematyczne szczucie na stan nauczycielski“. Przypuszczamy że nie w programowym artykule choć autora zdziwiły tu do tego stopnia słowa o „idei“ i o „wspólnym celu“ do którego ma młodzież dążyć, że dodał do nich *sic!*

Więc może w liście „Zygmunta Miłkowskiego“, który szczególnie nie zyskał łaski Szan. krytyka. W liście tym „do młodzieży“ znajdujemy słowa: Młody Polak „źle się bawi“, gdy „do starca bieży co mu dumy pieje“, gdy pilnie słucha „kiedy mu przodków powiadają dzieje“. Źle się bawi — i dla tego, ażeby go na drogę bawienia się „dobrze“ naprowadzić, przedsięwzięto w czasach ostatnich zohydzić mu dzieje ojczyste urobić w nim wzgardę i nienawiść do przyszłości Polski“.

Jakiem prawem szan. krytyk identyfikuje z tą „szkołą“, jak ją nazywa Koźmian w swoim r. 63 cały nasz stan nauczycielski, jakiem prawem twierdzi, że to jest „śmiałe i bezpodstawne twierdzenie rzucone w twarz *całemu naszemu szkolnictwu*“. Podobnej obelgi tego stanu nigdzie krytyk w „Tece“ nie znajdzie.

Tu zawsze, gdyby tylko Szan. krytyk ze szczyptą dobrej woli i bez uprzedzenia chciał spojrzeć jest odróżniany powszechnie szanowany stan nauczycielski, ci przewodnicy duchowi, którzy z całem poświęceniem i zaparciem własnem wśród najniekorzystniejszych warunków, wśród szykan najróżniejszych „z góry“ pracują nad młodzieżą, sprawiają, że mimo podręczników, (przeciw którym wystąpił poseł Wójcik w swoim artykule w Tece) żyje jeszcze duch narodowy, od samego systemu, od partyi rządzącej.

Po tem wszystkiem nie dziwimy się już gdy znajdujemy dalej ostrą krytykę artykułu posła Wójcika któryby chciał, aby podręcznik historyi polskiej był tego rodzaju, iżby nie dozwoliła go władza rosyjska czytać w Królestwie.

Szan. krytyka bowiem zupełnie zadawala dzisiejszy stan nauki historyi *„kraju rodzinnego“* i sądząc z jego słów panuje pod tym względem w naszych szkołach średnich stan wprost idealny, a każde wykazywanie niedostatków i żądanie polepszenia jest napaścią na szkolnictwo i na cały stan nauczycielski.

Nie podoba się również krytykowi stanowisko „Teki“ wobec samobójstwa ucznia Żupnika i wobec strejku uczniów realnej szkoły.

Jak z tego przeglądu widać nie zdołał krytyk uchwycić tego co stanowi istotę czasopisma, nie zrozumiał zupełnie celów i dążności „Teki“ tylko z kilku na oślep wyrwanych zdań ulepił całość, aby módz krzyczeć o podkopywaniu fundamentów szkolnictwa. Autor zresztą jest dosyć wyrozumiały dla samej myśli wydawania takich czasopism przez młodzież. Z pobłażliwym uśmiechem staruszka mówi, że takie wybryki muszą się zawsze powtarzać, jak długo świat istnieje. „Rozumiemy, że każdy niemal młodzieniec o gorętszem sercu i lotniejszej wyobraźni uważa się za tytana, który szturmem weźmie Olimpy; że w poczuciu przelewających się przez brzegi sił uważa się za powołanego by już za młodu „łby urwał hydrze“ i dusił centaury. *I my to przebyli*“. Trochę go tylko niepokoją te inne artykuły Miłkowskiego, posła Wójcika.

Mimo to znajdujemy w pomienionej krytyce kilka uwag słusznych i myśli trafnych. Dobrą jest uwaga o tonie, w jakim są pisane niektóre z tych czasopism dla młodzieży. „To“ — są słowa krytyka — „nie jest forma właściwa dla wypowiedzenia swych przekonań i zbijania zapatrywań obcych. Inteligentna młodzież nie powinna iść wzorem rynsztokowych pisemek i w błocie maczać swoje pióra“.

* * *

W „Wolnem Polskiem Słowie“ znajdujemy bardzo słuszne uwagi o najnowszym prądzie reakcyjnym, przemazującym i przekreślającym wszystko, co się kiedykolwiek w duchu demokratycznym zrobiło. „Prąd ów nie przybrał jeszcze nazwy wyraźnej. Pojawił się pod mianem dekadentyzmu, do którego następnie przyczepiło się nazw parę innych, nieokreślających dokładnie rzeczy, przedstawiającej się pod postacią: wyegzaltowania i indywidualizmu. Świat i wszystko, co na nim jest, istnieje dla człowieka, — nie dla zwyczajnego jednak zjadacza chleba; nie dla każdego z bydląt trzody ludzkiej na pracę skazanej, lecz dla istoty wyjątkowej, dla arystokraty ducha, dla geniusza.

Filozoficzny, w pyszny literacki przyodziewek przystrojony doktrynie tej fundament nadał Nitsche. „Tak powiedział Zaratustra“. Wobec rzekomego skarykaturowanej socyalizmem, spotwornionej anarchizmem i skompromitowanej uznaniem głów koronnych (Napoleon III., Aleksander II., Wilhelm II, i inni) demokracyi bankructwa doktryna ta przyjęła się — przyjęła się tem łatwiej, że istotą swoją wsiąka w mistycyzm, zepchnięty w cień przez tryumfujący niedawno pozytywizm i szukający luki do wysunięcia się na wi-

downię. Lukę otworzył dlań Zaratustra. Tem się tłómaczą głosy radości wybrzmiewające w obozach klerykalnych, witające powrót do zapoznawanej przez pozytywistów wiary. W istocie nowy ów prąd nowym nie jest. Nowość w nim zaczyna się i kończy na przedstawieniu rzeczy mocno starej, widzianej w braminizmie indyjskim, w kapłaństwie chaldejskim, w prorokach judejskich, w mesyanizmie żydowskim — w niedawnym zresztą mesyanizmie chrześciańskim, do którego przylgnęli byli wielcy nasi poeci. W tej fali powrotnej nowem jest to chyba, że z wyżyny geniuszowej spycha ona wszystkich, co fizycznie lub umysłowo pracują, przeznaczając ją wyłącznie dla artyzmu we wszelakich jego przejawach, wokalnych, plastycznych i poetycznych. Tak się on zaprezentował w Polsce w Krakowie i uzyskał śród młodzieży zwolenników i wyznawców. Wątpić nie należy, iż się on rozwinie. Młodzież tak jest na nowości łakomą! Prąd ten się rozwinie na mocy reguły fal powrotnych. Pytanie: jak długo się na gruncie polskim utrzyma? Powinien by się utrzymać czas jakiś, dzięki podpierającym go kilku wybitnym talentom.

* * *

Czwarty numer „Promienia“ okazał się po konfiskacie, jaka go spotkała za artykuł w sprawie otwartego listu p. Greka do dyr. Gerstmana, przed kilku dniami w drugim nakładzie. Przypatrzywszy się jego zewnętrznej formie, przekonamy się, że „Promień“ nie żałuje dla swych prenumeratorów ani druku ani papieru, co jest tem chwalebniejszem, jeżeli wypływa ze świadomości o wewnętrznej wartości artykułów tam pomienionych.

Czegoż bowiem nie znajdzie czytelnik na tych 32 stronicach „Promienia“? Studya psychologiczne, z zakresu logiki, artykuły z dziedziny historycznej, traktaty polityczne, które wielostronnością dotykają nawet zagadnień ekonomicznych, wiadomości „O okrętach podmorskich“ a nawet „O alchemii“. Przedewszystkiem jednak, jak to na czasopismo dla młodzieży gimnazyalnej przystoi, rozprawy pedagogiczne zajmują miejsce niepoślednie. Lecz cóż z tego? — Wszystko, co nie jest przedrukiem — a jest tego dosyć — powierzchowne, tendencyjne, wykonujące wszystkie znamiona dyletantyzmu i niedojrzałości. Wyjątkiem można chyba nazwać artykuł „O organizacyi ćwiczeń wojskowych w szkołach krakowskich“ i nowela „Burau“, która się rzeczywiście wznosi ponad miernotę reszty prac w „Promieniu“ umieszczonych. Tak np. artykuł „O wyrobieniu charakteru“. Autor tego szkicu psychologicznego stawia

sobie dwa pytania: „jak pod wpływem różnorodnych warunków charakter się rozwija“ i „jak go dalej samodzielnie wyrabiać należy“. W opracowaniu tych pytań przychodzi autor do tego, że „decydującym czynnikiem w tworzeniu się charakteru jest wychowanie“, że „to, co nazywamy skrystalizowaniem się charakteru następuje dopiero od chwili wystąpienia na arenie życia samodzielnie“.

Na drugie pytanie odpowiada autor, że „człowiek, gdy dojdzie do zupełnej świadomości swego istnienia i przeznaczenia, może a raczej powinien dążyć do tego, by w sobie wyrobił charakter“ ponieważ u nas „ani społeczeństwo ani szkoła ani warunki“ tego zadania nie spełniają, jak to ma mieć miejsce w Anglii. W pracy tej nad własnym charakterem należy sobie zdobyć „siłę woli“ „wiarę we własne siły i wytrwałość“. W tem przedstawieniu rzeczy popełnia autor dwa błędy, raz identyfikuje charakter ze zdolnościami raz znowu pojmuje charakter jako siłę woli. Oba błędy wynikły stąd, że autor artykułu nie zadał sobie trudu kwestyę przez się rozbieraną pogłębić choćby przez to, żeby się był zapytał, co to jest charakter i jakie posiada istotne cechy.

Prawdą jest wprawdzie, że dziecko przychodząc na światło dzienne to „tabula rasa“, czułe, dostępne najlżejszym wpływom zewnętrznego uwarunkowania (!), jak płyta fotograficzna promieniom światła“ a jednak ta wrażliwość przyrodzona jest u wszystkich ludzi różną.

Charakterem nazywamy pewien stały sposób, w jaki oddziaływa nasza wola na pobudki. Pobudki działają jednak na naszą wolę pośrednio przez nasze poznanie, czyli charakter jest wypadkową i naszej woli i naszego poznania. Ukształcić zatem charakter nie znaczy tylko postarać się o „siłę woli“ „wiarę w swe siły i wytrwałość“, ale to wymaga pracy około naszego poznania, aby je wyposażyć w jak największy zasób etycznych zasad i szlachetnych myśli.

Zresztą niewątpliwie byłby autor artykułu doszedł do innego wyniku, gdyby był pamiętał, że charakter jest indywidualny, empiryczny, niezmienny i przyrodzony.

Jak w poprzedniem naszem sprawozdaniu z 3. numeru „Promienia“ musimy niestety i teraz zauważyć, że tendencyjność przebija nawet w tych artykułach „Promienia“, które jako naukowe z pewnością powinne być od tego błędu wolne. Cóż bowiem wspólnego z tematem przez autora opracowanym może mieć zdanie — zresztą zupełnie mylne — „że chłopak z „inteligencyi“... jest przedwcześnie rozwinięty *a przeto* mniej pojętny“! Wielkie zaiste zro-

znmienie rzeczy zdradza artykuł p. t. „P. hr. Tarnowski w walce z historyą porozbiorową Polski“.

Po napuszystem zapewnieniu, że „Promień“ wzorem słonecznego boga Fojbosa-Apollina powinien zedrzeć skórę z nowego Marsyasza“ wyszukuje autor artykułu argumentów, aby zarzucić hr. Tarnowskiemu na podstawie jego broszury p. t. „Nasze dzieje w ostatnich stu latach“ nieznajomość z elementarnych zasad logiki, błędy stylistyczne, językowe itd. Można się bezsprzecznie a niekiedy powinno się nawet, nie zgadzać z zapatrywaniami politycznemi hr. Tarnowskiego, dotykają one nas nieraz w najgłębszych uczuciach, wywołują gniew i oburzenie ale możemy zapewnić, że hr. Tarnowski postarał się o lepsze wykształcenie i głębszą znajomość języka polskiego niż... choćby redakcya „Promienia“. Zresztą artykuł tak cały tendencyjny i zjadliwy, że bez szkody dla naszych czytelników moglibyśmy go całkiem byli pominąć. A przecież niepowinno autorowi braknąć argumentów, bo Tarnowski w znacznej części odźwierciedlił tylko pojęcia o ostatniej epoce dziejów naszych zagnieżdżone w głowach tych, dla których idea niepodległej Polski nie istnieje, jako niezwiązana z ich interesami. O co autorowi tego artykułu chodziło, dowiadujemy się na końcu: „nie czytajcie utworu p. hrabiego, lecz książkę pt. „Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość“. Przez X. Y. Lwów 1894. (str. 452) *z mnóstwem* ilustracyi. Szerokiego pola do polemiki dostarczyłyby artykuły p. t. „Mickiewicz i Słowacki“, „Teraźniejsze obowiązki i zadania młodzieży“ lub „Wychowanie w szkołach“. Redakcya „Promienia“ zachowała jednak tę ostrożność, że sama tych tematów nie opracowała ale zadowoliła się przedrukami z Krasińskiego listu do Romana Załuskiego z „Revue Bleu“ i z dzieła p. Z. Monczeńskiej p. t. „Powaga wychowawców“.

Co do artykułów politycznych omawiających kwestyę ruską i żydowską, to tylko ostatni musimy podnieść, ile że Redakcya stanowczo i niedwuznacznie swoje stanowisko wypowiedziała:

„Najpożądańszymi sojusznikami dla nas są ci z pośród żydów, którzy są z uczucia i przekonania Polakami, chcą pracować dla kraju i walczą wraz z nami o niepodległą demokratyczną Polskę“.

* * *

Przypominamy konkurs na nowelę, którego warunki podane są w VI. nrze Teki.

* * *

Z numerem VI. skończył się pierwszy kwartał naszego wydawnictwa, a z dniem 15. maja zapada termin odnowienia prenumeraty na kwartał następny.

* * *

W kwietniowych numerach „Sztandaru“ organu młodzieży polskiej w Ameryce przedrukowano z „Teki“ wiersze Maryi Konopnickiej i Zdzisława Dębickiego, tudzież artykuł „Z podróży do Warszawy“ i nowelkę „Kuba dzwonnik“.

* * *

Wprawdzie jeden z naszych kolegów w osobnym artykule omawia sprawę emigracyi zdolności opierając się na materyale, jakiego dostarczyła tak ciekawa polemika między W. Lutosławskim z jednej strony a Żuk-Skarszewskim, Prusem i Orzeszkową z drugiej, kwestya jednak jest zbyt ważną, abyśmy ją uważali na zamkniętą. Chcąc umożliwić każdemu z czytelników wyrobienie sobie samodzielnego zdania przytoczymy w następnym numerze główne ustępy tak z artykułu Lutosławskiego i Żuk-Skarszewskiego, jak z kroniki Prusa i listu Orzeszkowej.



Odpowiedzialny redaktor: akad. Edward Neumann. Z drukarni W. A Szyjkowskiego